

JAROSŁAW CZAJA

„SMAKOWANIE MAŁOPOLSKI” CZYLI JAK TELEWIZJA DISCOVERY „ODKRYŁA” DREWNIANY KOŚCIÓŁ W ŁUKOWICY

Ostatniego lata na kanale Discovery Chanel, oraz na antenie Telewizji Kraków można było zobaczyć trzy krótkie, dokumentalne filmy promujące nasz region pod hasłem „Smakowanie Małopolski”. Oczywiście wybór spośród wielu atrakcyjnych miejsc nie był łatwy, chociaż w dwóch przypadkach nie budził zaskoczenia: jeden z filmów pokazuje klasztor w Tyńcu i zakonnik, inny zaś flisaka i przełom Dunajca w Pieninach. Zdziwienie mógł budzić dopiero trzeci z filmików, w którym nieoczekiwanie „wystąpił” nikomu prawie nieznanymi, drewniany kościół w Łukowicy, jako tło dla pracy konserwatora zabytków, promujący Szlak Architektury Drewnianej.

A jeszcze całkiem niedawno kościół ten, stał sobie w ciszy i zapomnieniu, zaniedbany i niedostępny dla turystów. Próżno go nawet szukać w opasłym przewodniku *Szlak architektury drewnianej* (2005 r.), bo jeszcze kilka lat temu nie figurował na liście zabytków, które warto byłoby zobaczyć. I oto nagle, za pośrednictwem satelitarnego kanału Discovery – on właśnie! – promuje całą Małopolskę! Ta sytuacja wymaga wyjaśnień, chciałbym więc tutaj – mimo tego, że niełatwo się pisze o pracach konserwatorskich w trakcie ich trwania, kiedy jeszcze wiele może się zmienić – spróbować, niejako na gorąco i w sposób quasi reporterski, przybliżyć historię niedawnych odkryć dokonanych w Łukowicy. Bo na szczęście i wbrew ogólnemu przeświadczeniu, kościoły drewniane wciąż kryją wiele tajemnic, a najbardziej zaskoczyć nas mogą właśnie te, stojące z dala od uczęszczanych szlaków turystycznych i rzadko odwiedzane nawet przez własnych parafian...

Łukowica jest siedzibą niezbyt rozległej gminy, a leży na południowo-wschodnich krańcach Beskidu Wyspowego, tam, gdzie góry tracą swą chmurną wysokość i łagodnie pochylają się w stronę Kotliny Sądeckiej. Chociaż to jeszcze powiat limanowski, najbliższą stąd do Łącka (7 km), nic więc dziwnego, że w krajobrazie dominują sady jabłoni i śliw. Historia parafii sięga tutaj XIII wieku, a sama nazwa wsi wywodzi się ponoć od łuków, które wyrabiano w tej okolicy dla wojsk Władysława Łokietka. Ważne, że w Łukowicy urodził się człowiek, który pośrednio wpłynął na dzieje naszego państwa, a Krakowa w szczególności. Otóż z rodziny miejscowych rycerzy, władających wsią od połowy XV do końca XVIII wieku Sędzimirów, wywodził się słynny w całej Europie alchemik Michał Sędzimir *vel* Sędziwój (1566–1636). Jak wiadomo jego alchemiczne doświadczenia spowodowały w styczniu 1595 r. wielki pożar w komnatach królewskich na Wawelu, co ponoć miało duży wpływ na decyzję króla Zygmunta III Wazę, o przeniesieniu stolicy do Warszawy.

Łukowica od piętnastu lat szczyci się posiadaniem nowej, potężnej i widocznej z każdej okolicznej góry świątyni. Jak to zwykle bywa w podobnych przypadkach, stary kościół znalazł się w jej cieniu, w przenośni i dosłownie. Ostatnia tzw. renowacja – siłami miejscowego fachowca – miała miejsce w 1972 roku. Potem, na początku lat 80. XX wieku coś tam jeszcze tu i ówdzie reperowano, ale wszystko jakby po cichu i bez udziału gruntownych badań konserwatorskich. Ważne jest to o tyle, że nikt przez wiele lat nie próbował weryfikować daty powstania tej drewnianej świątyni – ba, dzisiaj trudno nawet ustalić, kto tak naprawdę pierwszy napisał, że kościół w Łukowicy został zbudowany w latach 1693–97. Ważne, że ta data przyjęła się w literaturze, widnieje i pewnie jeszcze długo widnieć będzie w każdym przewodniku.

Kościół był więc długo zamknięty i czekał cierpliwie w kolejce, aż odnowione zostaną zabytki w bliższej (choćby Przyszowej i Męcinie) oraz dalszej okolicy. Ale się doczekał. Dzięki funduszom z Urzędu Marszałkowskiego i staraniom nowego proboszcza przeszło rok temu do jego wnętrza zawitała ekipa konserwatorska pod kierunkiem Anny Forczek z katedry konserwacji malowideł ściennych, krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych. Dodajmy od razu, że pani Anna wkraczała do tego kościoła bez większego entuzjazmu, bo – jak we wspomnianym na początku filmie sama mówi – zapowiadała się jej praca żmudna, ale mało ekscytująca i odkrywczą. Ot, miał to być jeszcze jeden, niczym się nie wyróżniający barokowy zbytek, jakich w południowej Polsce zostało jeszcze sporo.

O tym, że nie całkiem on jednak taki barokowy na jaki wygląda, pisał już w 1996 roku ks. Józef Buźniak w swojej pracy magisterskiej, obronionej w tarnowskim Seminarium Duchownym. Zauważył on mianowicie, że w łukowickim kościele występują dwa odrębne charaktery nakrycia przestrzeni jego wnętrza. Obok typowego dla baroku pozornego sklepienia z desek, istnieją klasyczne, gotyckie zaskrzynienia. Ksiądz Buźniak słusznie napisał, że gdyby w XVII wieku miała miejsce budowa nowego kościoła, to żaden cieśla nie budowałby zaskrzynień po to tylko, aby je ukryć ponad sklepieniem. Istniało więc duże prawdopodobieństwo, podszyte dreszczykiem emocji, że teraz cała sprawa wreszcie się wyjaśni.

Ale robotę konserwatorską zaczęto w ubiegłym roku od końca, czyli od bocznej – postawionej dopiero w XIX wieku kaplicy. Jak się później okazało, był to dobry krok, bo pozwolił, przy okazji głównych prac, na dokonanie w całym kościele niewielkich, kilkucentymetrowych odkrywek. Wtedy niespodziewanie wyszło na jaw, że pod współczesnymi, żółtymi „malowidłami” (1972 rok) coś jednak jest.

W wydanym przeszło sto lat temu *Słowniku geograficznym Królestwa Polskiego* o Łukowicy (jako Łukawicy) czytamy: „Kościół parafialny drewniany był już za Długosza i w owym czasie należała ta wieś do Mikołaja Gabońskiego herbu Janina, ale poświęcony został dopiero w roku 1550” (1884 r., t. V, s. 812). To wszystko. Dziwne, bo przecież przyjęło się powszechnie do tej pory twierdzić, że budowano świątynię w latach 1693–97 i konsekrowano ją w roku 1720, a tu autor notatki ze *Słownika...* o tych datach w ogóle nie wspomina i pisze tak, jakby znał wyłącznie kościół gotycki, a nie barokowy. Czyżby miał nieaktualne, od dwustu lat informacje?

I oto pierwszym malowidłem, które ukazało się naszym konserwatorkom w prezbiterium, kiedy usunęły grubą warstwę późniejszej polichromii, był sporych rozmiarów i bardzo kolorowy tzw. zacheuszek. Jak pisze Roman Brykowski w książce *Drewniana architektura kościelna w Małopolsce XV wieku* – malowane zacheuszki (krzyż wpisany

w koło, przy którym palono świece) to widoczny ślad bytności biskupiej i ważki element datujący. A więc znaleziono świadka konsekracji kościoła, teraz pytanie: której? Tej z 1550 roku, czy raczej z roku 1720...

Wkrótce poczyniono małe odkrywki na zachodniej ścianie nawy głównej, pod chórem muzycznym. Tam również, po lewej i prawej stronie namalowane były dwa prawie identyczne zacheuski – miało ich być dwanaście w całym kościele, ale została z nich tylko niewielka, górna część, bo resztę belek wyjęto, aby dobudować kruchtę. Chciałoby się, żeby to był ten „dymiący pistolet”, czyli jednoznaczny dowód świadczący o tym, że zacheuski pochodzi z połowy XVI wieku. Niestety, nie wiemy jeszcze na pewno, kiedy powiększono kościół: pod koniec XVII wieku – jak chce ks. Buźniak – czy znacznie później, jak sugeruje zakończone przed chórem, barokowe sklepienie pozorne z desek. Odpowiedź przyniosą być może dopiero w przyszłym roku kompleksowe prace konserwatorskie w nawie.

Ale zacheuski to nie wszystko, bo znalazły się inne elementy potwierdzające gotycki rodowód kościoła. Portale! Jeden, wycięty w ostry łuk widoczny był od zawsze przy wejściu do zakrystii, ale ponieważ był po niewłaściwej stronie prezbiterium: południowej, a nie północnej – uważano najczęściej, że pochodzi z XIX wieku, kiedy zakrystia została dobudowana. W kościołach gotyckich, zakrystia była od północy, ale jak wszystko na to wskazuje, portal mógł być po prostu przeniesiony, kiedy sto lat temu dobudowano od północy kaplicę i trzeba było zrobić większy otwór w ścianie.

Gdyby portal był jeden, można by mieć jeszcze wątpliwości, ale znalazł się i drugi! Przecież od południa przylega do nawy tzw. babiniec, mała kruchta, zamknięta na potężną, kilkusetletnią kłódkę, do której nie ma klucza, od wielu lat. Do tej pory wszystkich mylił łagodny, półokrągły kształt drzwi od środka, a od zewnątrz nic nie można było zobaczyć, bo kruchta zasypana była rupieciami i papierami, aż po dach. Po uprzątnięciu śmieci odsłonił się, wycięty z pnia ogromnego dębu portal i drzwi z kowalskimi okuciami, o stylizowanych motywach trójlistnych lilii. Kiedy usunięto deski z okalającego wejście szalunku, nie było już wątpliwości: przed oczami widniał klasyczny gotycki portal, o nadprożu w kształcie lekko zaokrąglonego łuku ostrego – prawie identyczny, jak ten wiodący do zakrystii, ale bez brązowych lamperii wyglądający bardziej archaicznie i wiekowo. W rzeczy samej, najbardziej przypominał te najstarsze, zachowane i nie zachowane do dzisiaj portale piętnastowieczne (sic!): z Haczowa, Olbierzowic, Zawady (par. Św. Marcina) i Grywałdu...

Portal południowy to było kiedyś najbardziej reprezentacyjne wejście do kościoła, przeznaczone dla księdza i kołatorów, można powiedzieć: jego świecka wizytówka. Bo w kościołach gotyckich wejścia na ogół były tylko dwa, od zachodu i południa. Do zakrystii wchodziło się wyłącznie przez prezbiterium. Ale to jeszcze nie był koniec odkryć, bo w szparach poziomych belek przylegających do portalu, świeciły z daleka dziwne białe punkty. Zęby! I to już była prawdziwa sensacja, bo coś podobnego można zobaczyć dzisiaj tylko bodaj w słynnym cmentarnym kościółku w Iwkowej – notabene z XV wieku. Mianowicie, głęboko w szpary, wetknięte są ludzkie, zdrowe i świetnie zachowane zęby. Jest ich w Łukowicy kilkanaście, w tym dwa w ścianie prezbiterium. Ktoś, kto wyrwał sobie zdrowy ząb – prawie nie ma na nich śladu próchnicy, aby go wetknąć w ścianę kościoła, musiał to zrobić w jakiejś intencji, ale tego pewnie się już nigdy nie dowiemy.

Wracam do portali gotyckich. Ryszard Brykowski w cytowanej przed chwilą książce, pisze, że łuk ostry w portalu, podobnie jak prosta faza (bez profilowania), zginęły w budownictwie drewnianym dość szybko, pod koniec pierwszej tercji XVI stulecia. A więc jednak coś jest na rzeczy i rację mógł mieć autor *Słownika geograficznego*. Oczywiście, nie da się tutaj wykluczyć działania jakiegoś zapóźnionego warsztatu, ale wszystko wskazuje na to, że kościół w Łukowicy musiał stać już co najmniej przed rokiem 1520, bo tak jest datowany, zachowany do dzisiaj w świątyni tablicowy obraz „św. Anna Samotrzcze”.

Wspominałem wyżej postać Michała Sędzimira vel Sędziwoja. To przecież właśnie przez ten, gotycki południowy portal, kiedyś, dawno temu, musiano wnosić do kościoła małego potomka kolatorów – przyszłego alchemika – aby go ochrzcić. Kiedy dorósł, pewnie nie raz patrzył na malowane zacheuski, które być może również już wtedy istniały. Na marginesie dodam, że coś wreszcie trzeba zrobić w sprawie promocji miejsca jego urodzenia, bo zawłaszczył łukowickiego alchemika w całości Nowy Sącz i nawet dla turystów złote, pamiątkowe dukaty na jego cześć bije...

Pragnę zauważyć, że świątynia w Łukowicy zaliczałaby się obecnie do grona największych gotyckich, drewnianych kościołów w Małopolsce. Szerokość nawy głównej wynosi tutaj prawie 10 metrów, a długość (bez późniejszego chóru i kruchty) 11. Prezbiterium ma odpowiednio: 7,20 i 7,40 m. Ta okoliczność mogła dotąd zmylić wielu, bo na ogół gotyk, zwłaszcza w terenach górzystych, kojarzy się z małymi kościółkami w Iwkowej (nawa: 7,20 x 7,80 – czyli prawie jak prezbiterium w Łukowicy), Grywałdzie (6,70 x 7,13) czy Dębnie (7,10 x 8,30). Ma to pewne znaczenie, ponieważ w XV i XVI stuleciu duże – długość nawy powyżej 10 metrów – kościoły z reguły powstawały w większych skupiskach, w których patronat sprawował król lub biskup, albo najmożniejsze rody. Trudno Gabońskich, czy Sędzimirów do tych ostatnich zaliczyć, dlatego tym bardziej podziwiać trzeba ich ambicje.

Zastanówmy się teraz, skąd w takim razie wzięła się informacja, powtarzana bezkrytycznie, że kościół powstał w ostatnich latach XVII wieku? Myślę, że ktoś popełnił kiedyś szkolny błąd – nie rozróżniając subtelnej różnicy pomiędzy słowami „dotacja” i „fundacja”. W zachowanym dokumencie *Consignatio documentorum* (str. 8–9) czytamy o dotacji niejakiego Hieronima Sędzimira dokonanej w roku 1693 na rzecz kościoła i probostwa w Łukowicy. A dotacja, za słownikiem języka polskiego to „bezwrotna pomoc finansowa”, natomiast fundacja to „zapis, akt prawny, przeznaczenie majątku na określone cele”. Cóż z tego, skoro utarło się, prawem kaduka pisać, nawet u wspomnianego Brykowskiego, że kościół „ufundował” Hieronim Sędzimir, albo, że kościół postawiony został „z fundacji” tegoż Hieronima. Żeby było ciekawiej, dla uwiarygodnienia tej wątpliwej tezy, ktoś powołał się w rysie historycznym świątyni, umieszczonym w gablocie przed jej wejściem, na fakt, że data 1693 r. powtarza się w łukowickim kościele jeszcze dwa razy i to w bardzo ważnych miejscach: na kamiennej chrzcielnicy i na portatylu z czerwonego kamienia w ołtarzu głównym. Pomyślmy jednak logicznie: skoro w tymże roku 1693 ruszyła ponoć budowa nowego, a nie tylko rozbudowa starego kościoła, zakończona – przypominać – jakoby cztery lata później, to po co było sprawiać sobie nową chrzcielnicę i relikwie do głównego ołtarza akurat z okazji rozpoczęcia, a nie zakończenia tej budowy? Zaiste, pomysł, że chciano koniecznie chrzcic i odprawiać nabożeństwa pod gołym niebem, albo w samym środku robót ciesielskich, wydaje się nieco absurdalny.

Zanim przejdę do wspaniałego deseru, czyli odkrytej w kościele polichromii, jeszcze kilka ważnych dygresji. Kościół w Łukowicy wzmiankowany jest w dziele Długosza *Liber beneficiorum...* (1470–1480) jako drewniany. Ponieważ parafia jest o dwieście prawie lat starsza, są tutaj dwie możliwości. Albo Długosz pisze o kościele chronologicznie pierwszym, wymienionym w spisie świętopietrza z lat 1325–1327, albo też, zgodnie z informacją ze *Słownika geograficznego*, o kościele późniejszym, konsekrowanym „dopiero” w 1550 roku. Do tej pory wszyscy odrzucali tę drugą opcję, przyjmując nie wiadomo na jakiej podstawie, że *Słownik* nie jest wiarygodny i kościół w Łukowicy nie może być aż tak stary. Dzisiaj nikt by już pewnie nie dał sobie ręki za to uciąć...

Wielce intrygujące jest to szczególne słowo: „dopiero”. Dlaczego autor *Słownika geograficznego* nie napisał po prostu, że kościół był konsekrowany w tym, a tym roku, a dołożył to jedno, zabarwione jakby nutką przypiany, słowo? To nie mógł być li tylko przypadek. Zespół konserwatorski, w miarę ujawniania się coraz większej ilości malowideł, zachodził w głowę, dlaczego te łukowickie zacheuszkizmy są takie olbrzymie i takie ozdobne. Przecież będąc w Lipnicy Murowanej, Dębnie czy Grywałdzie, nawet czasem trudno je zauważyć, bo kompletnie nie rzucają się w oczy, gdy tymczasem tutaj jest całkowicie inaczej. Symptomatyczny stał się w tym kontekście spontaniczny okrzyk zdumienia, jaki wydał na ich widok prof. Władysław Zalewski, nestor i wielki autorytet wśród pracowników katedry malowideł ściennych krakowskiej ASP, kiedy osobiście do Łukowicy zawiątał: „To ja myślałem, że w Sandomierzu są największe!”.

Czy to nie dziwne? Gdzieś w górach, na dalekiej prowincji i w małej wiosce, ktoś zadał sobie dużo trudu, by podkreślić bytność biskupa w świątyni. Może dlatego, że tak długo na niego musiał czekać?

Sądząc z dokumentów wizytacyjnych, kolatorzy kościoła w Łukowicy, a więc głównie Sędzimirowie, niezbyt przejmowali się jego wystrojem. Ks. Buźniak wręcz oskarża ich o skąpstwo i zaniedbanie. Nigdzie nie ma wzmianki o jakichkolwiek malowidłach, a już o figuralnych z całą pewnością. Jakie więc było pierwsze zdumienie pań konserwatorek, kiedy pod ich skalpelem, zaczęły się wyłaniać wszędzie dookoła: oczy, wąsy, ręce, dziwne nakrycia głowy i szaty. Do tej pory w samym prezbiterium udało się odkryć ponad trzydzieści malowanych postaci. A nad barokową amboną, dokładnie w górnym, prawym rogu nad jej drzwiami ukazała się – chociaż to nie cud – głowa Matki Boskiej. Zdumienie było tym większe, że wyraźnie widać, że te drzwi wybito później, w samym środku sceny figuralnej. Mało prawdopodobne, aby w XVIII wieku, kiedy najpewniej pojawiła się ambona, uczyniono to z pełną świadomością niszczenia pięknego wizerunku. Ta Madonna musiała już wtedy być zamalowana, ale dlaczego? Komu to się mogło nie podobać? Z drugiej strony ten fakt, pozwala również określić w przybliżeniu czas, w którym mniej więcej malowidło figuralne powstało. Można przypuszczać, że chodzi o koniec XVII wieku, kiedy dokonano modernizacji kościoła, a prace „dotował” wspomniany już Hieronim Sędzimir. Co ciekawe: wówczas w prezbiterium musiał stać jeszcze mały gotycki tryptyk, bowiem za obecnym, barokowym ołtarzem z początku XVIII stulecia, zachowała się malowana kotara, którą podtrzymują czterej aniołowie (bardzo podobna do tej z kościoła cmentarnego w Lipnicy Murowanej).

I jak w filmach Hitchcoca napięcie, tak tutaj zdumienie rosło dalej, kiedy przyszły pierwsze analizy chemiczne farb użytych do malowania polichromii w prezbiterium i nawie. No i okazało się – Sędzimirowie skapi, mój Boże..., że wykryto w nich obecność smalty,

czyli inaczej błękitu królewskiego, barwnika, który w przyrodzie nie występuje – a kilkaset lat temu wyrabiano u nas farby z naturalnych składników – i dlatego trzeba go było sprowadzać, za grube pieniądze z krajów południowych, głównie Włoch. Obecność smalty mówi jasno: to nie pośledni warsztat tutaj działał, ani zleceniodawcy nie byli tuzinkowi. Takich polichromii nie robiło się taśmowo na pęczki. Tyle tylko, idąc dalej tym tropem, skoro były drogie, nie powinno się ich też potem szybko zamalowywać...

Z polichromią w kościołach był zawsze pewien problem. Lekceważono u nas bowiem malarstwo ścienne, na rzecz łatwiejszego w odbiorze, bo na miejscu dla krytyków – w muzeach, zamkach, pałacach – malarstwa tablicowego czy sztalugowego. Przyjęło się nawet, że polichromie w kościółkach są tylko dla garstki znawców i historyków, którym chce się jeździć po kraju. Wciąż również, jak widać na przykładzie omawianego kościoła, zdarzają się przypadki nagłych odkryć, a przecież wydawałoby się, że już wszystko dawno jest odkryte, opisane i zaszeregowane. Kto dzisiaj ma jeszcze szanse zobaczyć coś, czego nie widziano od trzystu, albo czterystu lat? Coś, o czym nikt dotychczas nie miał nawet pojęcia. Myślałem o tym stojąc w prezbiterium i patrząc na żmudną pracę ekipy konserwatorskiej.

Ale doprawdy, nie wiem co byłoby lepsze: mieć gorsze artystycznie, ale wyraźniejsze polichromie, czy też odwrotnie. Im bowiem grunt kredowy pod malowidłem jest grubszy, tym gorzej świadczy o warsztacie wykonawcy. W najcenniejszych zabytkach kładziono farby niemal bezpośrednio na drewnie, widać to np. w Haczowie, Grywałdzie, Trybszu i Podolu. Tak jest też w łukowickim kościele. Działał tutaj artysta bardzo sprawny w swoim fachu, o pewnej, szybkiej ręce – niektóre fragmenty wyglądają, jak „pociągnięte z biodra”, nawet widać niewielkie zacieki – nie potrzebującej poprawek. Ale cóż: coś za coś, niestety taka polichromia jest z reguły delikatniejsza, niż warstwy ją pokrywające później, malowano ją przecież na grubo ciosanych toporem licach berwion, które potem jeszcze wygładzano, albo oklejano płótnem, pod następną warstwę. Całe szczęście, że współczesna technika pozwala nam korzystać z takich wynalazków jak podczerwień i ultrafiolet. Dzięki temu zobaczyć możemy wiele z tego, co przeniknęło z barwników w strukturę drewna, a czego gołym okiem nie widać. Forma jest ciekawa i cenna, ale treść wręcz unikatowa! Otóż po obu stronach prezbiterium, nieznanymi artystą wymalował ogromnych rozmiarów sceny figuralne, których główną bohaterką jest Matka Boska z dzieciątkiem. Na ścianie północnej mamy podpisane nawet przez autora po polsku: „Narodzenie Pańskie”, czyli szopkę bożonarodzeniową, ze św. Józefem, pastuszkami, muzykantami, zwierzętami, a nawet... krakowskim Kościołem Mariackim w tle, a na ścianie południowej z kolei oglądamy pokłon Trzech Króli z napisami, tym razem po łacinie („Tres reges”).

Pamiętajmy, że ściana północna w kościele z reguły uchodziła za „strefę złą” i malowano na niej zwykle okrutne sceny śmierci, Piekła i Sądu Ostatecznego. W ogóle w starych polichromiach Matka Boska przedstawiana była rzadko i to zazwyczaj w scenie Zaśnięcia lub Wniebowstąpienia. Nigdzie nie udało się do tej pory znaleźć analogii do tego, co oglądamy w tej chwili w łukowickim prezbiterium.

Pewnym kluczem do rozwiązania zagadki, mogłaby być wspomniana już wcześniej konsekracja (kolejna?) kościoła w 1720 r. przez biskupa Jana Tarło. Był on wielkim propagatorem kultu Matki Bożej Loretańskiej, dlatego w ołtarzu głównym pojawiła się jej figura i nawet do początku XX wieku było w Łukowicy – dzisiaj kompletnie zapomniane

– łaskami słynące sanktuarium loretańskie. Skoro tak, to zapytam znowu: dlaczego cenne i unikalne malowidła przedstawiające Matkę Boską, zapewne jeszcze w tym samym XVIII stuleciu w całości, bądź we fragmentach zamalowano?

Oczywiście, do końca prac konserwatorskich jeszcze daleko i przyjdzie czas na ostateczne wnioski, na razie więcej tutaj zagadek i pytań niż odpowiedzi. Ot, choćby następna dziwna sprawa: okna. Dwie duże i podobnych rozmiarów sceny figuralne namalowane są dokładnie naprzeciwko siebie, symetrycznie po obu stronach prezbiterium. Było to możliwe, ponieważ w budowli tej dosyć niestandardowo rozmieszczono okna. Z dokumentów wizytacyjnych parafii w 1608 roku wiadomo, że w kościele było sześć okien „oszlonych, niezniszczonych”. Dzisiaj w nawie i prezbiterium również widać sześć dużych okien, rozmieszczonych symetrycznie, o identycznych rozmiarach (nie liczę dwóch mniejszych, wyciętych w trójbocznym zamknięciu prezbiterium prawdopodobnie w XIX wieku, kiedy dobudowano kaplicę i zakrystię), ale wydaje się, że to nie mogą być „te” okna z początku XVII stulecia, bo umieszczone są zarówno w południowej (jedno zaślepione w prezbiterium, dwa w nawie) jak i północnej (lustrzane odbicie) ścianie. W kościołach z XV i XVI wieku nie było okien w ścianie północnej. Sądząc z zachowanej polichromii figuralnej, okna musiały jednak istnieć już przed nią, najpewniej wycięto je od północy pod koniec XVII wieku, w czasach Hieronima Sędzimira. Szkopuł jednak w tym, że jeśli bryła kościoła gotyckiego, jak mniemamy, nie uległa zmianie, trudno dociec, gdzie wobec tego mieściły się pozostałe trzy okna – skoro miało ich być sześć – od południa w 1608 roku. Nie ma po nich żadnego śladu, ani w nawie, ani w prezbiterium. Jeśli weźmiemy pod uwagę, że nawet największe świątynie z tego okresu (Haczów) nie miały więcej niż 5 okien, a jeśli wyjątkowo miały – jak np. w Woli Radziszowskiej gdzie jest 6 pierwotnych otworów okiennych – to aż trzy w samym prezbiterium (w Łukowicy jest zaledwie jedno), dojść musimy do wniosku, że jedynym logicznym wytłumaczeniem jest to, że widoczne dzisiaj okna istniały już jednak w 1608 roku. Ale przecież to mało prawdopodobne, bo znamy do tej pory tylko jeden kościół gotycki z oknami od północy: w Mogile, ale to budowla trójnawowa. Bądź tu człowieku mądry!

Wypada jeszcze na koniec sprawdzić, jak się ma do tego wszystkiego co powyżej, zachowana więźba dachowa na strychu kościoła. Po pierwsze jest storczykowa, a więc typowa dla kościołów gotyckich, a po drugie na pewno starsza niż sygnaturka, którą wymienia wspomniana wizytacja z 1608 roku. Co najciekawsze: na ośmiu kolejnych słupach storczykowych – licząc od wschodu – zachowały się, również typowe dla XV i XVI wieku znaki ciesielskie w formie kreskowanych nacięć. Kończą się na drugim słupie za sygnaturką w kierunku zachodnim. Reszta słupów – najwyraźniej późniejszych, jest bez znaków, za to z cyframi pisanyymi węglem, lub grafitem. Sygnaturka musiała być wykonana później niż znakowana więźba, bo część storczykowej konstrukcji wycięto w jej miejscu. Potwierdza to wszystko jak najbardziej gotycki, a nie barokowy rodowód drewnianej budowli.

I pomyśleć, że w swoim *Inwentarzu zabytków powiatu limanowskiego* (Kraków 2008, s. 65) Stanisław Tomkowicz pod datą 1 sierpnia 1895 r. napisał o kościele w Łukowicy w zasadzie tylko jedno zdanie, które dzisiaj zostawmy bez komentarza: „Budynek drewniany, bez cech szczególnych”...